

Kłusownicy i bydło z miasta

Autor: Jacek Józwiak

Tekst z szaloną propozycją: a może by tak pozwolić mieszkańcom nadwodnych wiosek - jak Indianom w Ameryce - łowić tradycyjnymi metodami? Tak naprawdę są oni o wiele mniej groźni dla przyrody i rybostanu od bydła, które co tydzień przyjeżdża nad wodę z miasta.

Tak prawdę mówiąc, byłbym za tym - skoro już państwo bezradne jest w egzekwowaniu prawa - by mieszkańcom nadrzecznych wsi pozwolić łowić tradycyjnymi metodami, określając je precyzyjnie. Na razie bowiem - a obawiam się, że długo tak będzie - nie ma szans, by kłusownictwo takie ukrócić. Korzyść byłaby jedna - urwał by się mimowolny solidaryzm rzecznych ludzi z przyjeżdżającym nad rzekę bydłem.

- I co pan poradysz, tego się nie wypleni, bo to nie jest złe. A co nie jest złe, jest nie do wyplenia. Podrywka tu była zawsze, nikt nie łowił na handel, nikt nie łowił pazernie. Ot sobie, ot rodzinie... - Taki wywód usłyszałem, kiedy swojego czasu odwiedziłem Marka Kaczówkę w jego dziewiczym (wędkarsko) Szczucinie. I z podobnym rozumowaniem spotykam się wszędzie, gdzie rzeka determinuje ludzkie życie.

Zarówno Narew, jak Wisła mają swoich kłusowników, którzy ryby zdobywają w sposób niezgodny z regulaminami, wbrew prawu, ale jakoś ładnie, w przyjaźni z naturą. Pewnie tak pozostało by i nad Bugiem, gdyby nie fakt, że brzegi tej niegdyś rybnej i pięknej rzeki pokryły się daczami. Tam niemal cała ziemia poszła na nierozumny przetarg, tam wieś pozbawiona została przez miastowych korzeni. Nie ostała się więc i rzeka. TRADYCJA I NARKOTYK

Tradycja nadrzeczna zawsze pozwalała korzystać z ryb. Ale łowienie podrywką, czy nawet spuszczenie spławianej drygawicy rzeki nie rujnowało. Na Bugu od dziesięcioleci współżyli zgodnie rybacy sieciowi, kłusownicy i wędkarze. Ryb wystarczyło dla wszystkich.

Bużańskie kłusownictwo - tak jak dzieje się to jeszcze na Wiśle - nie miało charakteru masowego, łowiono naprawdę na własne potrzeby. Jednak wraz z pojawieniem się pierwszych działek nad brzegami rzeki, zmienił się jego charakter. Do wiosek przybyli potencjalni klienci. Miejsce podrywek, krótkich dryg, sznurów z kilkunastoma hakami zastąpiły kilkusetmetrowe siatki, agregaty prądotwórcze, granaty, ba, zdarzały się nawet trucizny zabijające ryby w przyrzecznych dołkach.

Paradoks polega na tym, że kłusownictwem na skalę przemysłową zajęli się ludzie nie mający dotąd nic wspólnego z rzeką. Kłusujący w zgodzie z naturą - być może wywołał tu oburzenie usprawiedliwianiem kłusownictwa i dzieleniem procederu na ładny i paskudny - włosy sobie rwali z głowy na widok wieloosobowych band złożonych z ludzi, którzy przedtem na rzekę ani spojrzeć nie chcieli.

Czesano Bug do czysta. Funkcjonariusze z PSR opowiadali o wsiach całych, które na wiosnę, podczas tarlanych migracji i zgromadzeń, zajmowały się przez kilka dni "pozyskiwaniem ryby". Na wałach przeciwpowodziowych, na drogach dojazdowych do rzeki stały czujki ostrzegające przez pojawieniem się łodzi czy samochodu PSR lub - wówczas jeszcze - milicji obywatelskiej.

Działek przybywało, a wraz z nimi coraz więcej pojawiało się na wodzie "dzierżawców". Dzierżawcy tym różnili się od starych kłusowników, że budziła się w nich coraz większa pazerność.

- To nie było już nawet - opowiadał mi kłusujący od lat mieszkaniac wsi Ślężany - łowienie dla ryb i dla zysku. To było łowienie dla łowienia. Moich sąsiadów ogarnęło jakieś szaleństwo. Stawiali sieci, gdzie się dało, tłukli ryby bez żadnej potrzeby. Aby nałowić, aby łódkę napchać po brzegi…

Pamiętam, jak ów człowiek przez lata pytał mnie, gdy przyjeżdżałem tu pod namiot ze spinningiem, czy aby ryby mi nie trzeba i uważany był przez miejscowych za zbrodniarza niedledwie. A podczas tej rozmowy ucichł na kilka minut, zamyślił się i spróbował poszukać innych słów, aniżeli te, którymi posługiwał się na codzień...

- To amok był jakiś, narkotyk. Jak dla łasicy mordowanie kur, gdy już wejdzie do kurnika. Haszysz, panie, heroina. Łowić, łowić, wyjąć wszystko z wody, co się rusza. A potem nie wiadomo było, co z tym robić. Ile działkowicze mogą zeżreć. Rybkę na tydzień, i to tą lepszą…. Tutaj w czasie tarła lessczy łowiło się ryby po przyczepie od ciągnika, po dwie nawet. Świnie nawet na rybę patrzeć nie chciały, a

bite późną wiosną smakowały rybą. Wątroba, panie, to jakby z dorsza była, schabowy rybą cuchnął, jakby w beczce ze śledziami leżał… To świnie na skup karmiło się rybami z wiosennych amoków. A te dla siebie pasło się kartoflami.

Na skutki nie trzeba było czekać długo. Bug, przynajmniej ten z obydwu stron zamieszkały przez polskich chłopów skończył się dla wędkarzy. I spustoszenie to większe chyba od przemysłowego trucielstwa - rzeka płynie piękna, ale bezrybna. RATUNEK W BRUDZIE

Wisłę przed wybraniem jej do spodu uratowały zanieczyszczenia. Te wszystkie fenole, ścieki komunalne i inne cuchnące substancje, które tak bardzo wbiły się w ludzką świadomość, że ludzie do tej pory wzdragają się przed myślą, że mogliby jeść rybę z tej rzeki. I choć działki wdarły się już gęsto nad wiślane brzegi, to chyba nigdzie nie wytworzyło się zapotrzebowanie na ryby z rzeki, więc nie wytworzyła się owa pazerność, która zabiła Bug.

Także nad Wisłą spotyka się kłusowników łowiących okrutnie, bezmyślnie i na dużą skalę, ale jest to domeną miast, a na terenach odległych domeną "miastowych". Nie widziałem szarpaków w rękach ludzi mieszkających w nadrzecznych wsiach. Oni wciąż kłusują… jak ludzie cywilizowani.

Największa nawet podrywka - a spotykałem nawet o trzy i pół metrowym boku - nie wytrzebi rzeki, tak jak nie zniszczy ichtiofauny kilkunastohakowy sznur ustawiony za przykosą i przynoszący klenia czy sandacza z nocki.

Wiem, że posługuję się w chwili obecnej moralnością relatywną, ale nic nie poradzę na to, że wzrusza mnie staruszek zmagający się dla kilku leszczy czy nawet kilkukilowego sumka z diabelnie ciężką podrywką, czy chłopiek-roztropek zmieniający codziennie żywce na trzech wędkach wyciętych z wierzbowych drągów i ustawionych na kilka tygodni na odludnej opasce. Tak, oni mnie wzruszają, bo chwilę przedtem minąłem kilku miejskich bydlaków z 5 gruntówkami na każdym stanowisku. Ze staruszkami czy chłopkami-roztropkami mogę pogadać o rzece, o rybach, mamy wspólne spojrzenie na rzekę i na ryby. Od bydlaków mogę - co najwyżej - zarobić w mordę.

Tak prawdę mówiąc, byłbym za tym - skoro już państwo bezradne jest w egzekwowaniu prawa - by mieszkańcom nadrzecznych wsi pozwolić łowić tradycyjnymi metodami, jak Indianom w Stanach, określając je precyzyjnie. Na razie bowiem - a obawiam się, że długo tak będzie - nie ma szans, by kłusownictwo takie ukrócić. Korzyść byłaby jedna - urwał by się mimowolny solidaryzm rzecznych ludzi z przyjeżdżającym nad rzekę bydłem.